

U morze nie ?

2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Zabrania się zmieniania, kopiowania i w jakikolwiek inny sposób wykorzystywania niniejszego utworu bez pisemnej zgody autora.

Justynie, aby z wielką radością opracowywała kolejne świadome zgody

16/04/2019

1.

Sobotni poranek. Jadę rowerem. Mam na sobie odpowiedni strój, na głowie kask, kostki rąk okrywają rękawiczki kolarskie. Rozkoszuję się krajobrazem. Metaliczny ciemnoczerwony kolor roweru znakomicie współgra z otaczającą zielenią. Spod kasku wyłaniają się świeżo kupione okulary. Uważam, że należy je nosić, gdyż już nie raz te paskudne meszki wlatywały mi do oka, które potem długo czyściłem i przemywałem. W tej kwestii jak i w wielu innych staram się być optymalnie pragmatycznym facetem.

Na wypadki rowerowe zawsze wybieram mniej obleżone trasy. Nie znoszę tłumów, krzyków, przepychanek. Dlatego jadę tą wyjątkowo spokojną. Znam ją i kocham. Spotkałem się z nią już kilka razy i za każdym razem to samo: cisza, spokój, mało ludzkich zakłóaczy. Wiodła ona przez pola, łąki i las. Cała „wielka pętla” - jak ją nazywałem - liczyła około 65 kilometrów. Dziś wybrałem krótszy wariant. Ciągnęło mnie do domu – miałem tam trochę drobnych napraw, których wykonanie już dawno obiecałem żonie. Zakończenie trasy miało mieć miejsce na jednym z leśnych parkingów, gdzie zostawiłem swoje auto.

Powiewa lekki wiatr. Po niebie leniwie przesuwają się białe chmury. Promienie słońca odbijają się w moich lustrzanych okularach. Gdyby zrobili mi teraz zdjęcie – chyba super bym wyglądał. A jakby tego było mało, to jeszcze ta okolica! Zapach wiosny, kwitnące drzewa, miłe promienie słońca, kształtne, różnorodne chmury, luz i szczęście.

- Chwilo trwaj! - przeleciało mi przez głowę. Jestem bardzo zadowolony z mijającego tygodnia. Był intensywny, a sprawy zawodowe mają się nieźle. Właśnie kończyłem duży, udany projekt. Mój szef przebąkiwał coś o niezłej premii. Razem z żoną już zaplanowaliśmy, gdzie pojedziemy za otrzymane pieniądze. Nasz wybór padł na rejs po Skandynawii, morzu Północnym wraz z zawijaniem do fiordów. Obydwoje od dawna o tym marzyliśmy.

2.

Wzdłuż ścieżki rowerowej znajdowała się poprowadzona równolegle ścieżka dla ruchu pieszego. Zazwyczaj mijalem na niej osoby z kijkami do nordic walkingu, spacerujących pojedynczo, grupami, parami, a nawet rodziny z rozbrykanymi pociechami. Pojawiały się też mamy z wózkami.

Na tym fragmencie ścieżka wznosiła się lekko do góry. Znałem dobrze to miejsce. Za chwilę wierzchołek, a potem z szybko z górki, następnie skręt w prawo na parking. Potem włożę rower na bagażnik i powrót do domu. Przez głowę przelatuje mi myśl: no, chłopie – jeszcze kilkaset metrów. Daj z siebie wszystko - naciskaj mocniej na pedały. Napinam mięśnie, rower przyspiesza, i to pod górkę! Dojeżdżam do wzniesienia. Słyszę ujadanie psów oraz jakiś wysoki, piskliwy, poddenerwowany, rozpaczliwy głos. Zastanawiał się, co za wzniesieniem się u licha dzieje. Ujadanie nasila się. I tylko nie wiem, czy to z powodu zbliżania się do jego źródła, czy z powodu gmatwającej się sytuacji. Szybko mijam wzniesienie. Patrzę przed siebie i co widzę? Jakies dwieście metrów ode mnie młoda dziewczyna prowadzi na smyczy dalmatyńczyki. Przypomina mi się film o tych miłych psiakach: „101 dalmatyńczyków”. W głowie pojawiają się migawki obrazów zarówno z wersji rysunkowej jak i fabularnej. Jeden rzut oka na sytuację i wszystko jasne! Przed tymi czarno-białymi dalmatyńczykami ucieka spłoszony czarny kot. I tak oto znów obserwuję odwieczną rywalizację pomiędzy zwaśnionymi gatunkami. Przystaję pedałować, za chwilę skręt w prawo. I w tym momencie staje się coś, czego nie przewidziałem. Ten cholerny sierściuch, czarny tłusty kot gwałtownie zmienia kierunek ucieczki. Jego tor krzyżuje się z moją drogą. Dalej wypadki toczą się niemal jednocześnie. Jest to jak film w bardzo mocno przyspieszonym tempie. Słyszę jeszcze głośniejszy krzyk dziewczyny. Kątem oka dostrzegam, jak z jej rąk wypadają uchwyty smyczy, które lecą luźno, ciągnięte przez znajdujące się na przeciwnych końcach psy. Psy dostają amoku, kociego amoku. Kolejne ujęcie: gromada czarno-białych plam leci wprost na mnie. Kot znika z mojego pola widzenia. Myśl, która przechodzi mi przez głowę mówi: hamuj i odbij w lewo, by uniknąć rozjechania dalmatyńczyków. Tak robię. Kierownicę odbijam gwałtownie w lewo, naciskając z maksymalną siłą na dźwignie hamulców. Słyszę tępe uderzenie, skowyt, krzyk dziewczyny. Rower w jakiś przedziwny sposób wlatuje w powietrze. Mam wrażenie, że teraz oglądam film w zwolnionym tempie. Czuję jak wraz z rowerem wykonuję salto do przodu. Zauważam, jak lądujemy razem w wyłożonym betonowymi kratownicami rowie przepustu tuż przed parkingiem. W jakimś dziwnym stanie spoglądam na dzienny licznik przejechanych kilometrów. Wskazuje czterdzieści cztery kilometry i czterysta czterdzieści cztery metry...

Poza sobą słyszę krzyki ludzi, jęki i skowyt psów. Z trudem obracam głowę. Widzę niedużą sosną, na jej górnych konarach pieprzonego czarnego kota, a pod drzewem ujadające diabelskie dalmatyńczyki.

3.

Ból całego ciała daje o znać sobie. Z ust leci mi krew. W buzi czuję coś twardego. Czyżbym połknął jakieś kamyki? Po chwili uświadamiam sobie, że nic takiego nie miało miejsca. Wypluwam to coś z buzi. Ciekawość uruchamia chęć zobaczenia, co to jest?. W tym celu staram się unieść na prawej ręce. Ręka odmawia współpracy i posłuszeństwa. I jest jakoś dziwnie wygięta. Obracam się z wysiłkiem na lewy bok, unosząc na lewej ręce. Spoglądam uważnie na wyplówkę. Ze zdziwieniem i przerażeniem konstatuje, że obok mnie leżą trzy zakrwawione zęby. Czuję, że coś lepkiego i ciepłego spływa mi spod kasku zasłaniając wzrok. Słyszę głos dobiegający z sąsiedztwa: czy ktoś wezwał pogotowie?

Rower lub raczej to, co z niego zostało wygląda iście kubistycznie, a może naturalistyczno-minimalistycznie. Uświadamiam sobie, że są to raczej jego resztki: scentrowane aluminiowe felgi, smutnie zwisające strzępki opon, i jeszcze te linki hamulców w jakiejś przedziwnej płataninie, a kierownica przypomina znak V. Czyżby mimo to victoria – myślę. Staram się wyjść spod roweru. Nie udaje mi się to. Znowu pojawia się ból. Tym razem czuje, że to prawa noga, która mocno boli. Noga - podobnie jak i ręka jest nienaturalnie ułożona.

Wydaje mi się, że powoli tracę wizję. Pozostaje fonia. Mijają długie sekundy oczekiwania. Czuję, że ktoś podchodzi do mnie, jakiś inny głos mówi: ułóżmy go w pozycji bezpiecznej. Jeszcze inny drze się: ludzie, nie dotykajcie go, pewnie ma uszkodzony kręgosłup. Zdezorientowany tłumek zacieśnia krąg, przesłaniając słońce. Ludzie żywo gestykują i dyskutują. I ci nieludscy lokalni paparazzi, którzy fotografują i kręcą smartfonami filmy. Jestem dla ich lokalnej społeczności jak jednodniowy bohater dziennika internetowego.

4.

Z kakofonii dźwięków uchem wychwytyuję odgłos karetki. Nareszcie - chyba jednak zwycięstwo. Z wysiłkiem otwieram oczy. Widzę trzy postaci, które podchodzą do mnie. Jaki ładny pomarańcz od nich bije. Ubrani są w stroje korporacyjne, dopowiadam sobie w myślach z lekkim wewnętrznym uśmiechem.

- Dzień dobry – spokojnym głosem mówi jedna z postaci. Nazywam się Marek Przemilny i jestem ratownikiem medycznym. Wraz ze mną są obecni: Witold Rączy – sanitariusz oraz Janusz Pomagalski – kierowca. Mój mózg przebudza się z dziwnego letargu i pracuje na wysokich obrotach: Rączy powinien zamienić się na robotę z Pomagalskim, lepiej by brzmiało, byłoby to bardziej spójnie, he, he, he....

Wszyscy trzej składają się do miłego ukłonu, który widywałem na zakończenie spektakli operowych i teatralnych.

- Raczej nie do końca dobry – odpowiadam słabym głosem.

- Ależ tak – ciągnie pierwsza z postaci - taka ładna pogoda, ciepło, pogodnie... No i co my tu mamy?

- Jak to co do cholery? - myślę nerwowo – jestem poszkodowany przez te posrane dalmatyńczyki, które nieustannie ujadają na tego pieprzonego czarnego kota, który miauczy wniebogłose, jakby obdzierali do z tej tłustej skóry. I ten głos z czubka jebanej sosny!

- Czy ktoś z panem jeszcze jechał tym pojazdem – pyta znów spokojnym głosem pierwsza z postaci.

- Nie – odpowiadam stara się zachować spokój.

- Dobrze – odpowiada pierwsza postać, bo to upraszcza procedury.

- A kto kierował – pyta znów postać zwana Markiem i podchodzi do mnie.

- Jak to kto, ja – odpowiadam. Znów po chwili słyszę znakomicie już znane „dobrze”.

- A teraz przystąpię do... czuję, że mą duszę wypełnia iskierka radości.

Mam nadzieję, że zaraz pan Marek zacznie udzielać mi pomocy medycznej. Nadzieja ta znika równie szybko jak się pojawiła. Pan Marek kontynuuje:

- Przedstawienia panu pakietu podstaw prawnych wyrażenia przez pana zgody i udzielania pomocy medycznej. Uwarunkowania prawne wskazują, że „Każdemu zapewnia się nietykalność osobistą i wolność osobistą.”. Jest to zapisane w art. 41 ust. 1 Konstytucji Rzeczypospolitej. Natomiast Kodeks etyki lekarskiej w artykule 15 mówi: „Postępowanie diagnostyczne, lecznicze i zapobiegawcze wymaga zgody pacjenta. W sytuacji, gdy pacjent nie jest zdolny do świadomego wyrażenia zgody, powinien ją wyrazić jego przedstawiciel ustawowy lub osoba faktycznie opiekująca się pacjentem.”

Patrzyłem na Marka z lekkim zdziwieniem. Marek nie zauważył tego i jakby nigdy nic kontynuował:

- Także Konwencja o prawach człowieka i biomedycynie, która był przyjęta przez Komitet Ministrów w dniu 19 listopada 1996 roku, w artykule 5 - Postanowienia ogólne mówi: „Nie można przeprowadzić interwencji medycznej bez swobodnej i świadomej zgody osoby jej poddanej.”

- W związku z powyższym, kontynuował pan Marek, pytam pana wobec zgromadzonych tu świadków – potoczył wzrokiem po swoich współpracownikach i zgromadzonej gawiedzi: czy wyraża pan swobodną i świadomą zgodę na postępowanie diagnostyczne, lecznicze i zapobiegawcze?

- Tak – odpowiadam cichym głosem.

- Nie usłyszałem – odpowiedział pan Marek.

- Tak – odpowiadam ponownie maksymalnie mocnym tonem, na jaki mogę się zdobyć mimo bólu.

- Odpowiedział „tak” - powiedział dobitnie i żwawo pan Marek i wzrokiem pełnym triumfu powiódł po zgromadzonych. A oni zaczęli na znak aprobaty bić brawo.

Pan Marek poszedł do karetki po torby medyczne. Wraz z nim udali się tam też jego współpracownicy. Przynieśli razem trzy duże kufry. Po chwili panowie: Witold i Janusz przynieśli nosze.

Pan Marek podszedł ponownie do mnie.

- A teraz przystąpię do... I znów, jak poprzednio moja dusza, a może serce wypełniało się radością. I znów mam nadzieję, że zaraz pan Marek zacznie udzielać mi pomocy medycznej. Czuję, że serce bije mi szybciej. Wypełnia mnie otucha. I znów nadzieja ta ginie równie szybko jak się pojawiła.

Do Marka podchodzi Janusz z dwoma segregatorami: grubym oraz cienkim, który zawierał – jak się potem okazało - instrukcję do wypełnienia formularzy z tego grubego. W zestawie dostrzegłem także długopis i podkładkę z klipem:

- Szefie, a podpisanie zgód na formularzach, bo ta cała biurokracja...

Marek pochyła się nade mną mówiąc:

- Przepraszam pana, jeszcze tylko kilka drobnych prostych, formalności urzędowych i przechodzimy do meritum – czyli udzielenia pomocy medycznej.

- OK - odpowiedziałem z coraz mniejszą nadzieją na otrzymanie pomocy za tego zasranego życia.

Marek jako profesjonalny ratownik kontynuował:

- Proszę o pana imię i nazwisko.

- Piotr Rowerski.

- Data i miejsce urodzenia?

- 29 lutego 1988 roku – odpowiadam cichym głosem, dziwiąc się, że jeszcze jestem z siebie głos wydobyć.

- O! 29 lutego, to obchodzi pan urodziny co 4 lata – rzekł Marek, i kontynuował nie oczekując odpowiedzi: pana PESEL.

- Nie pamiętam...

- No to zmuszeni będziemy zaprzestać udzielania panu pomocy – skwitował Marek.
- Ale, ale jak to tak, jak to? - zadaję pytanie, po tym jak jego pytanie strzela we mnie jak przysłowiowy grom z jasnego nieba.
- Powinien pan wiedzieć, że Senat zaakceptował ustawę o świadczeniach opieki zdrowotnej finansowanych ze środków publicznych, której nowelizacja od 1 stycznia 2013 zakłada, że wystarczy PESEL i dowód osobisty, prawo jazdy, albo paszport, aby potwierdzić, że ma pan prawo do opieki zdrowotnej ze środków publicznych.
- Więc pytam pana grzecznie – kontynuował Marek - czy ma pan jakiś dokument, jeden spośród tych wyżej wymienionych – ostatnie słowa wycedzał przez zęby nieco już zirytowany pan Marek.
- Dowód mam chyba w kieszonce spodni, z tyłu – jęknąłem pełen bólu, rozpaczy i zniechęcenia.
- To dobrze – odrzekł Marek.

Odał segregatory z podkładką i długopisem Januszowi, a z torby, z opakowania wyjął sterylne rękawiczki i nożyczki pochylił się nade mną. Nagle pojawił się cienki i piskliwy głos tego grubasa Janusza:

- Ten pan nie podpisał zgody szefie, a szef chce rozpocząć procedury medyczne bez wymaganego podpisem potwierdzenia.
- Cholera, masz rację Januszu – szef uśmiechnął się do współpracownika. Tylko co teraz zrobimy. To jest patowa sytuacja.
- Panowie, proszę mi pomóc, bardzo boli – powiedziałem z trudem łapiąc krótki oddech.
- Chwileczkę proszę pana, nie możemy działać poza prawem – włączył się do rozmowy milczący do tej pory Witold, który miał – w odróżnieniu od Janusza bardzo niski basowy głos.
- Musimy się naradzić, co z tym zrobić - powiedział Marek zdejmując sterylne rękawiczki. Panowie – spojrzał na Witolda i Janusza – co o tym sądzicie?

Zapada niezdrowa, złowroga cisza. Na twarzach załogi karetki pojawia się zagubienie i smutek.

Czuję w klatce piersiowej kołatanie mego biednego serca. Ciężko oddychałam. Czuję się coraz słabszy. Odkrztuszam znowu krwią.

- Panowie, jest mi zimno – powiedziałem, coraz mocniej dygocząc.

Marek spojrzał po obecnych. W którymś momencie Witold rzekł: a może skorzystamy z darmowej pomocy prawnej w ramach zawodowego OC zawodów medycznych. Mamy do dwunastu darmowych porad w roku. Witold, Marek i Janusz z radością spojrzeli po sobie.

- Dobra, to ja zadzwonię – powiedział Marek. Znalazł i wybrał numer do prawnika, porozmawiał, podziękował i zakończył połączenie.
- No chłopaki, jest zgoda – zakrzyknął z radością Marek.

Janusz oddał segregatory z podkładką i długopisem Markowi, który ponownie pojawił się przy mnie, ale tym razem to Janusz wyjął z torby, z opakowania sterylne rękawiczki i nożyczki pochylił się nade mną rozcinając tylną kieszeń. Wyjął pogięty blankiet dowodu i odczytał Markowi mój pesel.

Marek zapisał cyfry, a następnie przerzucił kilka kartek i zastanawiał się na głos:

- Co my tu mamy?

Na głos odczytywał i zaznaczał zgody na stosowne procedury. Odczytał ich około 60. A dotyczyły one między innymi: aspirowania, iniekcja, irygacji, krioablacja, kriokoagulacja, kroplówki, zastrzyku, zastrzyku domięśniowego, dożylnego i podskórnego, zgody na pobranie krwi, na podanie leków, na podanie tlenu, na diagnostykę, na przetwarzanie danych osobowych, na wgląd do dokumentacji medycznej, a nawet na obserwację przez studentów, gdyż karetka podpadała pod szpital uniwersytecki. Ile tego było – pogubiłem się.

Marek z płynnością ruchów przygotował stosowne formularze, wyjął je z grubego segregatora, przepiął na podkładkę i zamarł w bezruchu.

- A pan jest leworęczny? - zapytał patrząc na moją dziwnie ułożoną, niewładną prawą rękę.

- Nie, praworęczny – odpowiedziałem prawie bezgłośnie.

- No to mamy problem.

- To może podpiszę lewą ręką – odpowiedziałem.

- Byle podpis był zgodny ze wzorem, tym w dowodzie, bo inaczej mi nie przyjmą papierów w centrali – rozumie pan – wyjątkowo przyjacielskim tonem mówił Marek.

- Postaram się – jakimś nadludzkim wysiłkiem wyszeptałem.

- No to do roboty – szybko powiedział Marek podając mi kolejne formularze zgód. A było ich kilkadziesiąt. Machinalnie podpisywałem we wskazanym miejscu. Gdy już wszystkie podpisałem poczułem się bardzo słaby. Witold w tym czasie przyniósł butlę z tlenem.

- Należy się panu, w końcu w takim stanie podpisać tyle kwitów to nie lada wyczyn – powiedział nakładając mi na twarz maskę. Odkręcił butlę. Zasyczało. Wziąłem głęboki, jak na moje możliwości wdech. Panowie przykryli mnie kocem termoizolacyjnym i przenieśli na nosze. Nareszcie pomyślałem, teraz się mną zajmą. I poczułem się na kilka sekund znacznie lepiej. Włożono mi kołnierz ortopedyczny, a na zdrową rękę mankiet manometru, zrobiono wkłucie dożylnie, podłączono do EKG.

- Niskie ciśnienie, pojawia się częstoskurcz, tętno słabnie – powiedział Marek wpatrzony w monitor i zaordynował:

- Poproszę adrenalinę i płyn wieloelektrolitowy.

Witold podał mi ampułkę z igłą. Czułem jak mi ją wbija w przedramię. Kroplówka już wnikała do mego zmęczonego ciała przez założony wenflon. Pakowali mnie do karetki. Do mych uszu dobiegł metaliczny dźwięk wsuwanych w tory elementów noszy i zamykanie trzwi.

Marek i Witold troskliwie opiekowali się mną. Janusz włączył sygnały i ruszył.

5.

Straciłem przytomność. Jak z kamery, spod sufitu widziałem ratowników, którzy coś robili przy mojej klatce piersiowej. Dziwny widok: podskakujące ciało i sygnał pojazdu uprzywilejowanego. Trochę przypominało mi to doświadczenia z żabimi udkami i elektrycznością doktora Galvaniego z XVIII wieku... Lecz chyba nie do końca był to ten właśnie eksperyment.

Wjeżdżaliśmy na dziedziniec szpitala, gdy nagle z aparatu ekg zaczął wydobywać się głośny, jednostajny pisk.

- Chyba go straciliśmy – powiedział Marek. Witold ze smutkiem pokiwał głową.

Epilog I

Na wycieczkę nie popłynąłem. W zamian za to, moja żona wystąpiła z pozwem przeciw ratownikom. W uzasadnieniu odmowy wszczęcia postępowania sądowego prokurator napisał między innymi:

„Załoga ambulansu dołożyła wszelkiej staranności od strony prawno - proceduralno – formalnej. Dowodem są nagrania i zeznania świadków. Do akt sprawy dołączono pięćdziesiąt osiem świadomych zgód na postępowanie i przeprowadzenie zabiegów medycznych, podpisanych przez jeszcze wtedy żyjącego denata, co było warunkiem sine qua non udzielenia skutecznej pomocy”.

Epilog II

Załoga ambulansu wytoczyła sprawę cywilną mojej żonie. Żona została pozwana za zniesławienie. Nie mogła uwierzyć, że zanim rozpoczęto udzielenie pomocy ratownicy wymagali ode mnie aż tylu podpisów na formularzach. Nazwała załogę: technomordercami.

Niestety, żona sprawę przegrała. Ma zapłacić zadośćuczynienie zawiązką oraz umieścić na swój koszt przeprosimy na drugiej stronie w jednym z dzienników ogólnopolskich: w wydaniach papierowym i elektronicznym.

Epilog III

A ja patrząc na to wszystko gdzieś z góry cieszę się, że jestem tam, gdzie jestem.